



Oliwia Tybulewicz

W objęciach gwiazd

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

Oliwia Tybulewicz

W objęciach gwiazd

© Copyright by Oliwia Tybulewicz & e-bookowo

Grafiki wykorzystane na okładce: kiraliffe, Shunga_Shanga, andreiuc88

Źródło: elements.envato.com

Projekt okładki: e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN e-book: 9788381661454

ISBN druk: 9788381661461

Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2020



Patronat medialny:



Papierowe motyle.pl



[Kup książkę](#)

Spisałam tę historię, bo wiem, jak ulotna jest ludzka pamięć. Oficjalna wersja tych przełomowych wydarzeń brzmi nieźle, ale miejscami mocno rozmija się z prawdą. Chcecie wiedzieć, jak wyglądało wtedy nasze życie? I co rzeczywiście się wydarzyło? Jeśli tak, ta opowieść jest dla Was.

Rozdział I

Terra

Jak co dzień obudziłam się w swojej kabinie, przytulona do metalowej ściany. Takich pomieszczeń było na naszym statku tysiące. Starając się przegonić resztki snu, wyłączyłam budzik i leniwie się przeciągnęłam. Potem wygładziłam poślanie i złożyłam łóżko tak, by stapało się z bokiem sypialni. To taka drobna sztuczka, aby zwiększyć rozmiar kabiny, w której mieszkaliśmy. Nie da się ukryć, że pomimo dziewięciu pięter, powierzchnia naszego statku była mocno ograniczona i każdy metr był na wagę złota. Cokolwiek by to dosłownie nie oznaczało – muszę kiedyś spytać o to Ludmiłę.

Automatycznie opłukałam twarz, wyszorowałam zęby i założyłam przeznaczone na dziś ubranie. W stołówce panował zwykły, nieco przygaszony gwar; wszyscy mieli ochotę jeszcze trochę pospać. Odmierzyłam sobie z dystrybutora porcję pożywnej brei zwanej owsianką i usiadłam przy swoim stoliku. Jadałam przy nim, odkąd pamiętam. Moje życie nie obfitowało w zmiany.

Mirella zjawiała się kilka minut po mnie i widać było, że zniosła pobudkę dużo gorzej niż ja. Szopa długich, kręconych, kasztanowych włosów aż się prosiła o potraktowanie grzebieniem, a od bluzy, wyraźnie zakładanej w pośpiechu, odcinały się szwy.

– Hej, masz górę na lewą stronę – zagałam na powitanie, bez entuzjazmu przeżuając swoją porcję witamin.

– Jakby to kogokolwiek obchodziło – mruknęła w odpowiedzi, ciężko opadając na krzesło naprzeciwko mnie. – Wiesz, kuchnia mówi, że w tym tygodniu nie ma co liczyć na owoce. Ten statek schodzi na psy.

Pokręciłam głową.

– Coś mi mówi, że czas ci przepisać solarium.

Wszyscy od czasu do czasu dostawaliśmy tam przepustkę, aby otrzymać odpowiednią dawkę zbawiennego w skutkach promieniowania. Lampy w kabinach też w jakimś stopniu je emitowały, ale daleko im było do tych solariowych.

– Do szamba z tym – mruknęła moja towarzyszka, po czym nieśpiesznie ściągnęła górną część garderoby, przełożyła ją na drugą stronę i tym razem założyła, jak należy.

Nikt nawet nie spojrział w naszą stronę. Miała rację – nikogo to nie obchodziło.

– Ale na serio – kontynuowałam wywód, odsuwając od siebie miskę.
– Warto by było iść po receptę.

– O tej porze roku możemy liczyć co najwyżej na godzinne wejście. Jak dopisze nam szczęście – zastrzegła, patrząc krytycznie na resztki mojego posiłku. – Zostawiłaś trochę kukurydzy.

– Powiedzmy, że mam przesytną kukurydzianą. – Wzruszyłam ramionami. – Poza tym dadzą to mułkom, żadna strata.

Na naszym statku nic się nie marnowało. Zwracano na to baczną uwagę, bo od tego zależało nasze przetrwanie.

– Ale przecież niedługo kończą konserwację! – ożywiła się niespodziewanie moja rozmówczyni. – Więc może uda nam się wbić między biednych rekonwalescentów!

Solaria z przeznaczenia miały być miejscem wytchnienia, gdzie mogliśmy „doładować akumulatory”. Były to ciepłe, bardzo jasne pomieszczenia z mnóstwem zielonych żyjątek – prawdziwych ziemskich roślin. Ludmiła twierdzi, że powinniśmy nazywać takie miejsca parkami, bo tak by na nie mówiono na naszej ojczystej planecie, ale tutaj przyjęła się nazwa *solarium*. Ze względu na liczbę osób, na którą przypadwały, dostęp do nich był ograniczony. Każdy miał prawo wejść tam raz na jakiś czas, ale pierwszeństwo miały osoby osłabione i dochodzące do siebie po chorobach.

W ostatnim czasie liczbę przydziałów zmniejszono, co wiązało się z konserwacją generatorów – raz na rok taka operacja była niezbędna. Wówczas to w solariach skracano godziny przyjęć, a na korytarzach zmniejszano intensywność oświetlenia, części z nich pozwalając tonąć w mroku nie tylko nocą, ale także wieczorami. Zakładano, że w razie potrzeby będziemy w stanie przejść je na pamięć, po omacku. Przykręcano też ogrzewanie i wtedy do łask wracały nasze najcieplejsze ubrania. Pierwsze Pokolenie nazwało ten okres zimą.

– Już czas. – Mirella westchnęła, po czym zabrała nasze tace i zaniosła do punktu zwrotu naczyń.

*

Żadna z nas nie przepadała szczególnie za szkołą. Teraz, gdy ostatni etap naszej podstawowej edukacji powoli dobiegał końca, było nam jeszcze trudniej usiedzieć na zajęciach.

– Przed wami decyzja dotycząca waszej przyszłości – głosiła uroczystie profesorka, krocząc pomiędzy przykręconymi do podłogi ławkami.

Wszystkie meble na statku ze względów bezpieczeństwa były przymocowane do podłoga.

– Najlepsi z was otrzymają szansę na wykształcenie w Złotej Republice. Część być może zdecyduje się nawet na zawód pedagoga. Możliwości macie wiele. Wybierzcie mądrze, bo to zaważy na całym waszym życiu.

Mirella, korzystając z tego, że belferka właśnie nas minęła, wywaliła język i przewróciła oczami. Omal nie parsknęłam śmiechem.

– Na podjęcie decyzji zostało wam już tylko kilka miesięcy. Nie zapominajcie, że to wynik egzaminów zadecyduje o tym, czy dostaniecie się do swojego wymarzonego miejsca. To tradycja sięgająca Pierwszego Pokolenia; w ten sam sposób decydowało ono o przyszłości swoich dzieci, w większości urodzonych już na statku. Prawo to wprowadzono równocześnie we wszystkich czterech republikach i obowiązuje ono do dziś.

No, nie do końca – pomyślałam. – Podział na republiki został przeprowadzony przez Drugie Pokolenie, Pierwsze było jeszcze jedną wielką rodziną – granice były otwarte i nie było wówczas tak wyraźnego podziału na lepszych oraz gorszych. Powiedziała mi to Ludmiła, podobnie jak to, żebym nie afiszowała się z tą wiedzą, bo jest ona politycznie niepoprawna.

Prawdą była często powtarzana fraza, że nie licząc drobnego wsparcia w okresach konserwacji generatorów, każda z republik mogła funkcjonować samodzielnie. Jednak wszyscy wiedzieliśmy, że nie na tym samym poziomie.

Republika Złota wyodrębniła się pierwsza – na jej trzech piętrach mieszkali najlepiej wykształceni mieszkańcy statku, tacy jak lekarze, inżynierowie, a także piloci. Mówiono, że kabiny były tam największe oraz że Złotorepublikanie mają aż pięć solariów. No i oczywiście mieściła się tam główna sterówka.

Przedstawiciele powyższych zawodów można było obecnie znaleźć również na niższych poziomach statku, ale najlepsi zawsze trafiali do Złotek. To tam kwitła myśl naukowa, a w ich fabrykach wciąż udoskonalano maszyny, podczas gdy nasze były jedynie konserwowane. I to oni mieli najlepsze plony, a co za tym idzie najsmaczniejsze jedzenie, bo jako jedyni dysponowali środkami, by inwestować w badania.

Z czasem wyodrębniły się pozostałe formacje: kolejne dwa piętra objęła w posiadanie Republika Futura, a niemal równocześnie z nią powołano do życia Republikę Terra, w której się urodziłam i wychowałam. Obie miały taką samą powierzchnię i pod względem rozwoju były mniej więcej na podobnym poziomie.

Z tego, co zostało, utworzono Republikę Gwiazdą – najmniejszą i najbardziej zacofaną. Teoretycznie też miała dwa poziomy, ale połowa jednego z nich zastawiona była wozami terenowymi i patrolowcami.

– I teraz wy, kolejne pokolenie urodzone na Zorzy Polarnej, możecie kontynuować tę chlubną tradycję – ciągnęła w natchnieniu nauczycielka. – Mam nadzieję, że dacie z siebie wszystko.

– To kim zamierzasz zostać? – spytała Mirella, gdy lekcyjne męczarnie dobiegły końca.

Wzruszyłam ramionami. Wciąż nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

– Zastanawiam się nad czymś z branży medycznej. Może to dziedziczne.

Moja mama była z zawodu pielęgniarką.

– Potem chciałabym spróbować dostać się na staż do Złotej Republiki. Wiem, że niektórym się to udaje – wyznałam z rozmarzeniem.

– A nie wolisz dołączyć do mnie? Mechanik pokładowy to też niezły zawód.

Odwzajemniłam jej pełen entuzjazmu uśmiech, lekko kręcąc głową. Dla nikogo nie było tajemnicą, że tata i starszy brat Mirelli pracowali na takich stanowiskach. W wolnym czasie przekazywali swoją wiedzę najmłodszej latorośli, znajdując w niej pełną zapалу uczennicę. Szczegółowo mówiąc, całkiem sporo rzeczy potrafiła już naprawić, co skwapliwie wykorzystywali wszyscy nasi znajomi – czekanie na mechanika pokładowego potrafiło ciągnąć się w nieskończoność. Zawsze mieli jakieś pilniejsze zgłoszenia.

– Ale wiesz, że to raczej męski zawód? – Lubiłam jej to wypominać przy każdej możliwej okazji.

– Raczej, ale nie wyłącznie. No i pomyśl, to jedyna szansa, żeby wy dostać się z tego szambianego statku.

– Tylko po to, żeby podryfować w nieważkości, naprawiając uszkodzenia.

– Ale zawsze. To musi być zagwieździste uczucie.

– Niech ci będzie. Uprzedź, jakbyś przelatywała przy luku widokowym, to ci pomacham.

– Nie martw się, na pewno uprzedzę – odparła niezrażona.

*

Wieczorem, jak to często miałam w zwyczaju, wstąpiłam do Ludmiły. Była moją przybraną ciocią i jej mieszkanie uważałam za swój drugi dom – często tam przesiadywałam, gdy mama pracowała do późna. Luda przyjaźniła się kiedyś z moją babcią i żywiła spory sentyment do naszej rodziny, tym bardziej, że nie miała już własnej.

– Witaj, Różyczko! – Ucieszyła się na mój widok. – Czego się napijesz?

– Wystarczy woda – odparłam, sadowiąc się wygodnie na ulubionym krześle.

Upiłam kilka łyków, po czym odstawiłam podbite magnesem naczynie na specjalnie dla mnie rozłożonej ławie (oszczędność miejsca, rzecz jasna).

– Czy na Ziemi kubki też mają magnesy? – zaciękawiałam się nagle.

Ludmiła była z wykształcenia historykiem i bardzo lubiła opowiadać mi o naszej świetlanej przeszłości.

– Skądże, Ziemia nie wykonuje tak gwałtownych ruchów, jak nasz statek. – Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

Najwidoczniej znowu powiedziałam coś bardzo głupiego. Rozmawiając z Ludmiłą, nieodparcie odnosiłam wrażenie, że ile bym się nie

dowiedziała, to i tak jest to tylko ułamek tego, co powinnam mieć w głowie. Zmieniłam więc temat na bardziej bezpieczny.

– Niedługo mamy wybierać nasz przyszły zawód.

– Już? Jak ten czas szybko leci.

Ludmiła poczłapała do ukrytej w ścianie szafki i wyciągnęła stamtąd album na zdjęcia, po czym otworzyła go i pokazała mi fotografię, z której uśmiechał się do nas bezzębny niemowlak. To byłam ja – wiedziałam o tym, bo w domu miałyśmy taką samą odbitkę.

– Dopiero co się urodziłaś, a już stajesz się dorosła. – Westchnęła.

Drukowane zdjęcia były na statku prawdziwą rzadkością, więc z ciekawością się nad nimi pochyliłam.

– To moja babcia i ty, prawda? – upewniłam się.

– Tak, to było jeszcze przed narodzinami twojej mamy.

Przeniosłam wzrok na zdjęcie ślubne babci. Moja mama nigdy się takiego nie doczekała.

– Co się właściwie z nimi stało? – spytałam, wskazując na nowożeńców.

– Twój dziadek było sporo starszy i zmarł śmiercią naturalną, a babcia... babcia zachorowała. Panowała wtedy epidemia, na pewno się o tym uczyliście.

– Tak, mówiliśmy o tym w zeszłym roku – odparłam, mocno trzymając album, na wypadek, gdyby Ludmiła chciała mi go przedwcześnie zabrać. – Ale mama nigdy o tym nie wspomina.

– Bardzo to przeżyła. Tym bardziej, że nie zdążyła się z nią pożegnać. – Luda popatrzyła na mnie podejrzanie lśnącymi oczami.

Przez chwilę miałam wrażenie, że chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego wróciła do aneksu kuchennego i zaczęła hałaśliwie przestawiać coś w szafce. Kusiło mnie, żeby spytać ją o mojego tatę, ale wiedziałam, że był to temat tabu i mogłabym popaść w niełaszkę.

Podejrzewałam, że mógł umrzeć w tym samym czasie co babcia, ale mama udzielała mi jedynie zdawkowych, wymijających odpowiedzi. Odnosiłam wrażenie, że nie rozstali się w zgodzie – być może dlatego nie chciała o nim rozmawiać.

– Nie martw się, że masz tylko mnie – powiedziała kiedyś. – Przecież doskonale dajemy sobie radę we dwie, prawda?

Pokiwałam wtedy głową i na dłuższy okres przestałam o nim myśleć, ale mimo wszystko od czasu do czasu lubiłam sobie wyobrazać, jak mógł wyglądać i jak by to było mieć oboje rodziców, jak moje koleżanki.

W milczeniu wertowałam album dalej, docierając w końcu do najstarszych zdjęć. Jedno z nich było znacząco inne. Jako dziecko byłam przekonana, że przedstawia ono jedno z solariów na wyższym poziomie.

– To park, na Ziemi – wyjaśniła mi wtedy Ludmiła, choć też mogła to wiedzieć jedynie z opowieści, bo jak my wszyscy urodziła się już na statku. – To zdjęcie moi dziadkowie zabrali jeszcze z ojczyzny.

– A te białe plamy na kopule? – spytałam dociekliwie.

– To chmury. Na niebie, nie kopule. Na Ziemi chodzi się pod otwartym niebem.

Wzdrygnęłam się na to wspomnienie i zamknęłam album. Całe szczęście, że my mieliśmy nad sobą dach; nadmiar przestrzeni jakoś nie budził mojego entuzjazmu. To nie mogło być bezpieczne.

– Dlaczego wyjechaliśmy? Tak naprawdę? – spytałam, oddając Ludmile zdjęcia.

– Ziemia była przeludniona. Postanowiono stworzyć kolonię na planecie, która miała podobne warunki. Wysłano tam Pierwszą Ekspedycję, by stworzyć ludziom warunki do życia. Potem wysłano drugą, właśnie nas, Pierwszych Kolonistów. Musieli was tego uczyć, kochanie.

– W szkole zawsze pomijają najciekawsze fragmenty. Wolę, jak ty opowiadasz. A co z Pierwszą Ekspedycją? Czy wciąż tam są?